



FENOMENALNY
THRILLER
PSYCHOLOGICZNY

MICHELLE RICHMOND

I ŻE CIĘ NIE OPUSZCZĘ

Ta książka nie pozwoli ci zmrząć oka przez całą noc:
zaczynasz wątpić w każdego, kogo kiedykolwiek kochałeś.

LISA GARDNER

autorka bestsellerów „New York Timesa”



MICHELLE RICHMOND

I ŻE CIĘ NIE OPUSZCZĘ

TŁUMACZENIE MARIA SMULEWSKA



OTWARTE
KRAKÓW 2018

Tytuł oryginału: *The Marriage Pact*

Copyright © 2017 by Michelle Richmond

Copyright © for the translation by Maria Smulewska-Dziadosz

Wydawca prowadzący: Olga Orzel-Wargskog

Redaktor prowadzący: Agnieszka Urbanowska

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja: Małgorzata Poździk / d2d.pl

Korekta: Ewa Polańska / d2d.pl, Anna Woś / d2d.pl

Łamanie: Agnieszka Fryszak / d2d.pl

Adaptacja okładki oryginalnej: Eliza Luty

Fotografie na okładce: dłonie za szybą – © 123foto / E+ / Getty Images,
przedarta kartka – TextureFabrik.com

Fotografia autorki: Nick Elliott

ISBN 978-83-7515-459-7



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

Kevinowi

ROZDZIAŁ 1

Odzyskuję przytomność w małym samolocie. Turbulencje. Głowa mi pęka. Zasnęta krew na koszuli. Nie mam pojęcia, ile czasu minęło. Patrzę na dłonie, niemal pewien, że zobaczę kajdanki, ale nie. Tylko zwykły pas bezpieczeństwa. Kto mnie zapiął? Nie pamiętam nawet, kiedy wsiadłem do samolotu.

Przez otwarte drzwi do kokpitu dostrzegam tył głowy pilota. Oprócz nas dwóch nikogo tu nie ma. W górach pod nami widać śnieg, wiatr smaga samolot. Pilot wygląda na bardzo spiętego, skoncentrowanego na sterowaniu.

Podnoszę rękę, dotykam głowy. Krew zaschła, został lepki strup. Burczy mi w brzuchu. Nic nie jadłem od tamtego francuskiego tost. Ile czasu minęło od śniadania? Na fotelu obok widzę wodę i kanapkę zapakowaną w papier śniadaniowy. Otwieram butelkę i piję.

Odwijam papier, odgryzam kęs kanapki. Z szynką i serem. Jasna cholera – szczeka boli tak bardzo, że nie mogę żuć. Gdy uderzyłem w ziemię, ktoś najwidoczniej strzelił mnie jeszcze po głębie.

– Lecimy do domu? – pytam pilota.

– Zależy, co nazywasz domem. Lecimy na lotnisko Half Moon Bay.

- Nic ci o mnie nie powiedzieli?
- Imię i dokąd odstawić. Ja tu tylko robię za taksówkarza, Jake.
- Ale jesteś przecież członkiem, tak?
- Jasne. – Jego ton jest nieodgadniony. – Małżonkowi wierność, Paktowi lojalność. Dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Odwraca się na moment, ale to wystarczy, by posłać mi spojrzenie sugerujące, że o nic więcej mam nie pytać.

Nagle szarpnięcie tak mocne, że kanapka leci przez pół samolotu. Niepokojące pikanie w kabinie pilota. Mężczyzna przeklina i rozpaczliwie naciska różne guziki. Krzyczy coś do kontroli ruchu lotniczego. Raptem bardzo ostro schodzimy w dół, zaciskam ręce na fotelu, myślę o Alice, o naszej ostatniej rozmowie. Żałuję, że nie powiedziałem jej tylu rzeczy.

Potem wszystko nagle się uspokaja, znów się wznosimy, chyba wszystko jest w porządku. Zbieram kawałki kanapki z podłogi, zawijam je z powrotem w papier i odkładam na fotel obok.

- Przepraszam za turbulencje – odzywa się pilot.
- Nie twoja wina. Nieźle sobie poradziłeś.

Nad słonecznym Sacramento w końcu facet wydaje się mniej spięty. Rozmawiamy nawet o koszykówce, o tym, jak zaskakująco dobrze radzą sobie w tym sezonie Golden State Warriors.

- Jaki dziś dzień tygodnia? – pytam.
- Wtorek.

Z ulgą patrzę na znajomą linię brzegową, cieszę się na widok małego lotniska. Lądujemy gładko. Gdy już jesteśmy na ziemi, pilot odwraca się i mówi:

- Tylko żeby ci to nie weszło w nawyk, okej?
- Ani mi to w głowie.

Biorę torbę i wychodzę z samolotu. Pilot nawet nie wyłącza silnika, tylko od razu zamyka drzwi, zawraca i startuje.

Wchodzę do kafejki, zamawiam gorącą czekoladę i wysyłam esemesa do Alice. Jest czternasta, środek tygodnia, na pewno ma tysiące spotkań na głowie. Ale muszę się z nią zobaczyć.

Natychmiast odpowiada:

„Gdzie jesteś?”

„Już na lotnisku”.

„Wychodzę za 5 minut”.

Od jej biura na lotnisko jest dobrze ponad trzydzieści kilometrów. Pisze mi jeszcze, że utknęła w korku, zamawiam więc olbrzymie śniadanie.

W kafejce jest pusto. Po sali krząta się dziarska kelnerka w idealnie wyprasowanym uniformie. Kiedy płacę, mówi:

– Milego dnia, przyjacielu.

Wychodzę na dwór i siadam na ławce, żeby poczekać. Jest zimno, falami nadciąga mgła. Gdy wreszcie widzę starego jaguara Alice, jestem już zziębnięty na kość. Wstaję i sprawdzam, czy mam wszystko. Alice podchodzi do ławki. Ma na sobie poważną garsonkę, ale na nogach adidas zamiast szpilek. Jej czarne włosy są wilgotne od mgły. Szminke ma ciemnoczerwoną i zastanawiam się, czy umalowała się tak dla mnie. Mam nadzieję.

Staje na palcach, żeby mnie pocałować. Dopiero wtedy dociera do mnie, jak bardzo za nią tęskniłem. Potem robi krok w tył i lustruje mnie od stóp do głów.

– Przynajmniej wróciłeś w jednym kawałku. – Delikatnie dotyka mojej szczęki. – Co się stało?

– W sumie nie wiem.

Otulam ją ramionami.

– A dlaczego cię wezwali?

Tak wiele chciałbym jej powiedzieć, ale się boję. Im więcej się dowie, tym niebezpieczniejsze to dla niej będzie. A poza tym – powiedzmy sobie szczerze – kiedy pozna prawdę, wkurzy się na mnie okropnie.

Co ja bym dał, żeby cofnąć czas – do chwili sprzed ślubu, sprzed Finnegana, sprzed Paktu, który wywrócił nasze życie do góry nogami.

ROZDZIAŁ 2

Prawdę mówiąc, ślub to był mój pomysł. Może nie miejsce, jedzenie, muzyka i wszystkie te inne rzeczy, które Alice tak świetnie umiała organizować. Ale sam pomysł był mój. Znałem ją od trzech i pół roku. Chciałem z nią być i małżeństwo wydawało mi się najlepszym sposobem, żeby jej nie stracić.

Alice nie miała dotąd najlepszych wyników, jeśli chodzi o stałość. Jeszcze niedawno była dzika, impulsywna i zdarzało jej się rzucać na ulotne błyskotki. Bałem się, że jeśli będę zwlekał, po prostu mi się wymknie. Tak naprawdę ślub miał być tylko sposobem na stałość uczuć.

Oświadczyłem się jej w pewien pogodny styczniowy wtorek. Właśnie zmarł jej ojciec, pojechaliśmy więc do Alabamy. Był jej ostatnim żyjącym krewnym, a jego nagła śmierć ogromnie nią wstrząsnęła. Przez kilka dni po pogrzebie opróżnialiśmy dom jej dzieciństwa, który znajdował się na przedmieściach Birmingham. Cały ranek przedzieraliśmy się przez pudła na strychu, w biurze i garażu. Dom wypełniały przedmioty z życia jej rodziny: pamiątki po wojskowej karierze jej ojca, bejsbolowych wyczynach jej nieżyjącego brata, książki kucharskie zmarłej matki, wyblakłe zdjęcia dziadków. Przypominało to

skarby znalezione przez archeologów, odkrycie jakiegoś małego, zupełnie zapomnianego plemienia zaginionej cywilizacji.

– Już tylko ja zostałam – powiedziała bez żalości w głosie. Po prostu stwierdziła fakt.

Jej matka zmarła na raka, brat popełnił samobójstwo. Ona przeżyła, ale nie bez szwanku. Z perspektywy czasu widzę, że to, iż była jedynym żyjącym członkiem rodziny, skłaniało ją do większej gotowości na miłość i ryzyko. Nie wiem, czy przyjęłaby moje oświadczenia, gdyby nie fakt, że została sama na świecie.

Zamówiłem pierścionek zaręczynowy już kilka tygodni wcześniej. Kurier UPS-u przyniósł go tuż po tym, jak dowiedziała się o śmierci ojca. Właściwie nie wiem, dlaczego wsunąłem pudełko do torby, gdy wychodziliśmy z domu na samolot.

Dwa tygodnie po przyjeździe do Alabamy zadzwoniliśmy do agenta nieruchomości i poprosiliśmy, żeby przyszedł wycenić dom. Chodziliśmy z nim po pokojach, a on notował z przejęciem, jakby przygotowywał się do jakiegoś egzaminu. W końcu wyszliśmy razem na werandę i tam czekaliśmy, co powie.

– Na pewno chcą państwo sprzedać ten dom? – upewnił się agent.

– Tak – potwierdziła Alice.

– Chodzi tylko o to, że... – Wskazał na nas ręką, w której trzymał notes. – A nie woleliby państwo zostać? Pobrać się. Mieć dzieci. Ułożyć sobie tu życie. Przydałoby się nam tu parę nowych rodzin. Moje dzieci tak się nudzą. Syn musi grać w nogę, bo nie mamy dość dzieciaków, żeby się zebrało na drużynę bejsbolową.

– Hm – mruknęła Alice, patrząc znacząco na ulicę. – To chyba nie dla nas.

To wystarczyło. Facet natychmiast wrócił do trybu agenta. Zasugerował nam cenę, a Alice powiedziała, że wystawimy dom nieco taniej.

– Ale to by było poniżej wartości rynkowej w tej okolicy – zaoponował ze zdziwieniem.

– Nie szkodzi. Chcę to już mieć za sobą – wyjaśniła Alice.
Znów coś sobie zanotował.

– To mi zdecydowanie ułatwi zadanie.

Kilka godzin później podjechała ciężarówka, chłopaki wyskoczyły i z domu zniknęły stare meble i sprzęty. Zostały tylko dwa leżaki przy basenie, który się nie zmienił, odkąd został wybudowany w 1974 roku.

Rankiem następnego dnia kolejna ciężarówka przywiozła kolejną ekipę, przyslaną przez pośrednika w celu podrasowania wnętrza. Do domu wniesiono zupełnie nowy zestaw mebli. Ludzie z agencji poruszali się szybko i pewnie. Na ścianach powiesili duże abstrakcyjne obrazy, na półkach rozłożyli małe lśniące bibeloty. Gdy skończyli, budynek był niby ten sam, a jednak zupełnie inny – czystszy, mniej napakowany, bo zupełnie wolny od tych wszystkich uprzykrzonych drobiazgów, w których kryje się dusza domu.

Dzień później przez dom przetoczyła się parada agentów nieruchomości ze stadkami potencjalnych nabywców. Szepotali, otwierali szafy i szafki, analizowali listę ze szczegółowymi danymi nieruchomości. Tego samego dnia po południu agent zadzwonił do nas z czterema ofertami i Alice wybrała tę z najwyższą ceną. Spakowaliśmy się i zarezerwowałem bilet na lot powrotny do San Francisco.

Wieczorem, gdy pojawiły się gwiazdy, Alice wyszła na dwór pogapić się na ciemne niebo i pożegnać z Alabamą już na zawsze. Noc była ciepła, zza płotu docierał do nas zapach grilla. Lampy ogrodowe odbijały się pięknie w basenie, a leżaki zdawały się równie wygodne jak wtedy, gdy ojciec Alice zatargał je na to patio, kiedy jeszcze jego żona była piękna i opalona, a dzieci małe i hałaśliwe. Czulem, że Alabama naprawdę chce nas zachwycić, a jednak Alice była smutna, jakby obojętna na to piękno, które nas tu tak zaskoczyło.

Później opowiadałem naszym znajomym, że pomyśl, aby wykorzystać ten moment na oświadczyzny, przyszedł spontanicznie.

Że chciałem Alice jakoś pocieszyć. Pokazać jej, że jest przed nami przyszłość. Chciałem wnieść trochę radości w ten smutny dzień.

Stałem przy basenie, klęknąłem, wyciągnąłem pierścionek z pudełka i podałem go jej spoconą dłonią. Nic nie powiedziałem. Spojrzała na mnie, na pierścionek i się uśmiechnęła.

– Okej – rzuciła.

ROZDZIAŁ 3

Pobraliśmy się na łąkach nad rzeką Russian, dwie godziny jazdy samochodem na północ od San Francisco. Kilka miesięcy wcześniej wybraliśmy się tam rzucić okiem na to miejsce. Najpierw kilka razy je minęliśmy, bo zjazd był kiepsko oznaczony. Kiedy w końcu otworzyliśmy bramkę i weszliśmy na ścieżkę prowadzącą do rzeki, Alice przytuliła mnie i powiedziała:

– Tu jest po prostu idealnie!

W pierwszej chwili myślałem, że żartuje. Miejscami trawa miała z półtora metra wysokości.

Posiadłość była wielka, taka wijąca się farma z krowami pałętającymi się po pastwisku. Należała do gitarzystki z pierwszego zespołu Alice. Tak, Alice grała kiedyś w zespole i pewnie nawet słyszeliście ich kawalki, ale o tym jeszcze opowiem.

Dzień przed ślubem znów udało mi się przejechać odpowiedni zjazd. Ale tym razem dlatego, że wszystko tu się kompletnie zmieniło. Jane – ta gitarzystka – przez całe tygodnie kosiła i przycinała. Pastwisko wyglądało nadzwyczajnie. Jak najlepsze na świecie pole golfowe. Porośnięte idealnym trawnikiem wzgórze, z którego schodziło się wprost nad rzekę. Jane powiedziała, że były z żoną zachwycone, że nadarzył się taki wspólny projekt do wykonania.

Przygotowały już wielki namiot, patio, basen i nowoczesny domek nad basenem. Nad samym brzegiem rzeki stała scena, a na szczycie wzgórza altanka. Wokół wciąż powoli przechadzały się krowy, jakby medytując.

Wniesiono krzesła, stoły, sprzęt, głośniki, parasole. Alice nie przepadała za ślubami, ale uwielbiała przyjęcia. Nie urządziliśmy jeszcze żadnego razem, ale słyszałem wiele opowieści o wspaniałych imprezach na plażach, w jej mieszkaniach, a nawet salach balowych. Wyglądało na to, że ma do tego smykałkę. Kiedy więc przeszliśmy do etapu organizacji, po prostu zdałem się na nią. Miesiące planowania, wszystko idealnie dopracowane.

Dwustu gości. Miało być stu moich i stu jej, ale w końcu jakoś nie do końca wyszło po równo. Lista była dość zabawna, jak to na ślubach. Moi rodzice, babcia, szefowie Alice, moi współpracownicy z kliniki, w której niegdyś pracowałem, byli klienci, znajomi ze studiów, starzy kumple Alice z kręgów muzycznych, miszmasz innych.

A do tego Liam Finnegan z żoną.

Ich zaprosiliśmy na samym końcu, na liście widnieli jako goście numer 201 i 202. Alice poznała Liama trzy dni przed ślubem w kancelarii, w której od roku pracowała dosłownie dzień i noc. Tak, wiem, to dziwne, ale moja żona jest prawniczką. Gdybyście ją znali, też byście się zdziwili. O tym też wam jeszcze więcej opowiem, ale później. W każdym razie Finnegan, a raczej Finneganowie, Liam i Fiona, byli gośćmi numer 201 i 202.

Moja żona pracowała wtedy właśnie nad sprawą Finnegana. Kwestia praw autorskich. Finnegan był teraz biznesmenem, ale wiele lat wcześniej był frontmanem pewnej irlandzkiej folkowo-rockowej grupy. Nawet jeśli nigdy nie słyszeliście ich utworów, to z pewnością obilo się wam o uszy jego nazwisko. Wciąż się pojawia w tych wszystkich brytyjskich magazynach muzycznych – „Q”, „Uncut”, „Mojo”. Mnóstwo muzyków twierdzi, że miał na nich ogromny wpływ.

Kiedy Alice dostała tę sprawę, całe dni słuchaliśmy w kółko albumów Finnegan. Sprawa była dość prosta – jak na prawo autorskie w każdym razie. Jakiś młody zespół ukradł mu kawałek piosenki i zrobił z tego wielki hit. Jeśli jak ja nie rozumiecie technicznych zawiloci muzyki, w życiu byście nie zauważyli podobieństwa, ale Alice mówi, że dla muzyka kradzież była oczywista.

Sprawa wyniknęła z tego, że kilka lat wcześniej Finnegan powiedział w wywiadzie, że ten przebój wydaje mu się podejrzanie podobny do pewnej piosenki z jego drugiego albumu. Nie zamierzał nawet nic z tym robić, ale menedżer tego nowego zespołu wysłał mu zaraz list z żądaniem przeprosin i publicznej deklaracji, że nie doszło do żadnej kradzieży. Potem wszystko samo się potoczyło, a moja żona pracowała teraz miliony godzin nad swoją pierwszą dużą sprawą.

Alice była w swojej kancelarii tylko szarym pracownikiem, więc kiedy w końcu Finnegan wygrał, oczywiście to właścicielom firmy przypisano wszelkie zasługi. Miesiąc później, czyli tydzień przed naszym ślubem, do firmy przyszedł Finnegan. Przyznano mu jakieś bająnskie odszkodowanie, o wiele większe, niż chciał, a z pewnością większe, niż potrzebował, i postanowił podziękować wszystkim za ciężką pracę.

Szefowie kancelarii zaprowadzili go do sali konferencyjnej i długo raczyli bajkami o swojej genialnej strategii. Na koniec podziękował im, a potem spytał, czy mógłby się teraz spotkać z ludźmi, którzy naprawdę pracowali nad tą sprawą. Zacytował kilka fragmentów z jakichś akt i wniosków, zaskakując wszystkich uwagą, z jaką śledził szczegóły sprawy.

Wyjątkowo spodobało mu się streszczenie sprawy, które napisała Alice. Było zabawne i twórcze, to jest o ile prawnicze teksty mogą być zabawne lub twórcze. Tak więc szefowie kancelarii musieli zawołać Alice. Potem ktoś wspomniał o tym, że w weekend Alice wychodzi za mąż. Finnegan rzucił, że uwielbia śluby. Na co Alice zażartowała:

– To proszę przyjść na mój.

A on zaskoczył wszystkich, mówiąc:

– Będę zaszczycony.

Gdy już wychodził, przystanął jeszcze przy boksie Alice, a ona dała mu zaproszenie.

Dwa dni później w drzwiach naszego mieszkania stanął kurier z paczką. Przyszło już wtedy kilka prezentów, więc nie byliśmy zdziwieni kolejnym. Tym razem nadawcą byli Finneganowie. Otworzyłem kopertę. W środku była złożona biała kartka z obrazkiem tortu. Gustownie.

Drodzy Alice i Jake'u!

Przyjmijcie, proszę, moje najszczerze gratulacje z okazji zbliżających się zaślubin.

Szanujcie małżeństwo, a szczerze Was obdarzy.

Liam

Prezenty, które dotąd dostaliśmy, nie były specjalnie zaskakujące. Jest takie równanie, które pozwalało mi dość skutecznie przewidzieć zawartość prawie każdej paczki. Koszt prezentu ślubnego równa się: dochody netto darczyńcy razy liczba lat, które się znamy, razy pi. Czy coś takiego. Babcia kupiła nam komplet zastawy porcelanowej na sześć osób. Moja kuzynka podarowała nam toster.

Ale w przypadku Finnegana nie wiedziałem, jak mam szacować. Był zamożnym biznesmenem, właśnie wygrał dużą sprawę, a do tego miał obszerny katalog piosenek, które pewnie nie przynosiły dużego zysku. I nie znaliśmy go zbyt długo. Dobra, w ogóle go nie znaliśmy.

Z ciekawości od razu otworzyłem paczkę. W środku była duża, ciężka drewniana skrzynia z wypalonym na wieku napisem. W pierwszej chwili uznałem, że to jakaś superelitarna, ręcznie produkowana irlandzka whisky, co właściwie miałoby sens. Dokładnie by pasowało do mojego równania.

Ogarnął mnie niepokój. Nie bez powodu nie trzymaliśmy w domu żadnego mocniejszego alkoholu. Już wyjaśniam. Poznaliśmy się z Alice na odwyku, w zakładzie znajdującym się na północ od Sonomy. Od kilku lat zajmowałem się już wtedy terapią i rzucałem się na każdą okazję, by nauczyć się czegoś więcej. Zastępowałem wtedy znajomego, przy okazji zdobywając nowe doświadczenie. Drugiego dnia prowadziłem terapię grupową. W grupie była Alice. Powiedziała, że za dużo pije i że musi przestać. Nie na zawsze, uściśliła, ale na tyle długo, żeby móc przeprowadzić zmiany, które są niezbędne, by jej życie się ustabilizowało. Wyjaśniła, że nigdy przedtem nie piła wiele, ale przez ciąg nieszczęść w rodzinie zaczęła się zachowywać nieodpowiedzialnie i że chce odzyskać kontrolę nad sytuacją. Zachwyciły mnie jej jasność myślenia i determinacja.

Kilka tygodni później, gdy już byłem z powrotem w mieście, postanowiłem do niej zadzwonić. Prowadziłem zajęcia dla młodzieży z podobnymi problemami i pomyślałem, że byłoby fantastycznie, gdyby zgodziła się przyjść i z nimi pogadać. Miała talent do opowiadania o swoich problemach tak, że od razu trafiała w sedno sprawy, była bezpośrednia, zajmująca. Chciałem jakoś dotrzeć do tych młodych ludzi, a wiedziałem, że jej na pewno wysłuchają. Tym bardziej że Alice była przecież muzykiem. W znoszonej kurtce motocyklowej, z ostrzyżonymi na krótko czarnymi włosami i z tymi wszystkimi opowieściami o życiu w trasie naprawdę prezentowała się bardzo cool.

Tak w skrócie: zgodziła się porozmawiać z moimi podopiecznymi, wszystko dobrze poszło, zaprosiłem ją na lunch, minęły miesiące, zaczęliśmy się umawiać, kupiliśmy wspólnie mieszkanie, a potem, jak już wiecie, oświadczyłem się.

I dlatego właśnie, gdy otworzyłem paczkę od Finnegana, zamarłem na myśl, że to z pewnością butelka jakiegoś niesamowicie rzadkiego trunku. Przez pierwsze kilka miesięcy naszej znajomości Alice nie tykała alkoholu. Potem po jakimś czasie wypijała z rzadka butelkę piwa czy lampkę wina do kolacji.

Nie jest to typowe dla osób z problemami alkoholowymi, ale wyglądało na to, że w przypadku Alice się sprawdza. Ale tylko piwo i wino. Sama żartowała, że kiedy na stole pojawia się cokolwiek mocniejszego, to zawsze ktoś potem ląduje w kiciu. Choć trudno było to sobie wyobrazić, bo nie wiem, czy znam kogoś, kto by tak zawsze panował nad sytuacją jak Alice.

Odłożyłem podarek na stół. Bardzo elegancka, drewniana skrzynka.

Choć napis zdawał się nieco bez sensu.

PAKT

Ale żeby whisky nazywała się Pakt?

Uniosłem wieko. Wyłożone było niebieskim aksamitem i zawierało kolejne drewniane pudełko. Po obu jego stronach na aksamicie spoczywały pióra – wyglądały na niepokojąco drogie, może ze srebra, albo nawet białego złota lub platyny. Wyciągnąłem jedno, zafascynowany jego ciężarem, misternym wykonaniem. Typowy prezent dla kogoś, kto ma już wszystko. Czyli raczej nie dla nas. Pracowaliśmy ciężko i nieźle sobie radziliśmy, ale z pewnością nie należeliśmy do tych, którzy mają wszystko.

Nawet podarowałem Alice pióro z okazji zakończenia studiów prawniczych. Było naprawdę piękne i kupiłem je u malego szwajcarskiego sprzedawcy. Przedtem dobre kilka miesięcy analizowałem ten zaskakująco skomplikowany rynek eleganckich przyrządów do pisania. Zupełnie jakbym otworzył drzwi, myśląc, że za nimi jest szafa, a tam odkrył nagle cały wszechświat. Postarałem się tak za nie zapłacić, żeby Alice nie zauważyła, ile kosztowało. Nie chciałem, żeby poczuła ciężar straty, gdyby kiedyś przypadkiem je zgubiła.

Patrzyłem chwilę na pióro od Finnegana. Potem zacząłem bazarzać jakieś kółka na papierze do pakowania, a potem jeszcze słowa „Dziękuję, Liamie Finneganie!”. Atrament płynął gładko, pióro sunęło z wdziękiem po papierze.

Coś było na nim wygrawerowane.

Litery były takie małe, że nie mogłem ich odczytać. Przypomniałem sobie, że mam przecież szkło powiększające, było dołączone do gry planszowej. Alice kupiła mi ją pod choinkę. Poszperałem w szafie w korytarzu. Za pudłami z Ryzykiem, Monopoly i Boggle znalazłem grę od Alice. Szkło powiększające jeszcze było opakowane w folię. Przysunąłem pióro do światła i spojrziałem przez szkło.

„Alice & Jake”, a potem data ślubu i jeszcze po prostu: „Duncans Mills, Kalifornia”.

Muszę przyznać, że mnie to trochę rozczarowało. Nie tego się spodziewałem po jednej z największych żyjących gwiazd folk rocka. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby w tych kilku literkach ujął cały sens życia czy coś.

Wyciągnąłem drugie pióro i też odłożyłem na stół. Potem wyjąłem mniejsze pudełko. Zrobione było z takiego samego drewna, z jakimiś fikuśnymi wykończeniami i tym samym logo wypalonym na wieku: Pakt. Było dość ciężkie.

Chciałem je otworzyć, lecz było zamknięte na klucz. Odłożyłem je więc na stół i zacząłem szukać klucza. Ale w skrzyni go nie było, na dnie leżała tylko karteczka z odręcznie napisaną notką:

„Alice i Jake’u! Wiedźcie jedno, Pakt nigdy Was nie opuści”.

Gapilem się na nią przez chwilę. Co to miało znaczyć?

Alice musiała pozalaćwiać jeszcze mnóstwo rzeczy w pracy przed weselem i naszą podróżą poślubną, a kiedy w końcu wróciła do domu, mieliśmy do obgadania milion drobiazgów, zupełnie więc zapomniałem o prezencie od Finneganów.

ROZDZIAŁ 4

Zwykle już po pierwszych pięciu minutach wie się, jak będzie wyglądał dany ślub. Jeśli ludzie przyjeżdżają z lekkim opóźnieniem i ruszają się jak muchy w smole, wiadomo, że to będzie męczarnia. Na nasz ślub wszyscy stawili się nadzwyczaj wcześniej. Mój druhna Angelo Foti i jego żona Tami przyjechali z miasta za wcześniej, więc, żeby jakoś zabić czas, zaszli do kawiarni w Guerneville. Tam zauważyli kilka innych par w zbyt eleganckich ubraniach. Zagadali z nimi i z tego, co mi wiadomo, impreza zaczęła się już wtedy.

Krewni, znajomi, nerwy i w ogóle – wszystko to sprawiło, że dopiero gdy już rozpoczęła się ceremonia, dotarło do mnie, że Finnegan też przyjechał. Patrzyłem na pięknie ubraną Alice, która szła sama, szła do mnie, i wtedy ponad jej ramieniem mignął mi Finnegan. Stał gdzieś z tyłu. W nienagannym garniturze i różowym krawacie. Przy nim stała z pięć lat młodsza kobieta w zielonej sukni. Z zaskoczeniem stwierdziłem, że się uśmiechają, jakby naprawdę się cieszyli, że są tu z nami. Założyłem chyba, że Finneganowie pojawią się tylko z grzeczności, przyjadą późno, wyjdą wcześniej, ot, zmuszą się z uprzejmości do tego, żeby zaszczyścić swą obecnością ślub prawniczki, nic poza tym. Ale wcale to tak nie wyglądało.

Wtedy tego jeszcze nie wiedziałem, ale teraz już wiem. Na ślubie, jeśli dobrze się przyjrzysz, od razu dojrzysz osoby szczęśliwe w małżeństwie. Może chodzi o to, że każdy kolejny ślub znajomych stanowi potwierdzenie ich wyboru, a może to po prostu wypływa z ich wiary w instytucję małżeństwa. W każdym razie każde z nich ma taką charakterystyczną minę, którą dość łatwo wyłapać, choć trudno mi ją opisać. I Finneganowie mieli właśnie takie miny. Nim wróciłem wzrokiem do Alice – tak pięknej w białej sukni bez rękawów i kapelusiku retro – Finnegan pochwycił moje spojrzenie, uśmiechnął się i uniósł rękę, jakby wznosił toast.

Potem wszystko potoczyło się tak szybko. Przysięga, obrączka, pocałunek. Kilka minut później byliśmy już mężem i żoną, a wesele rozkręciło się w mgnieniu oka. Wpadłem w wir rozmów z przyjaciółmi, krewnymi, kolegami z pracy, kumplami ze studiów, a wszyscy oni w kółko opowiadali swoje wersje mego życia, często w złej kolejności, ale zawsze w pozytywnym świetle. Dopiero gdy zaczęło się ściemniać, znów zobaczyłem Finneganę. Stał przy scenie, patrząc, jak znajomi muzycy Alice przechodzą przez dość eklektyczny repertuar. Przed nim stała żona, przytulał ją, otoczywszy rękoma w pasie. Na ramiona miała zarzuconą jego marynarkę, bo robiło się chłodno. Twarze obojga wyrażały spokojne zadowolenie.

Zgubiłem gdzieś Alice, szukałem jej więc teraz w tłumie. W końcu zorientowałem się, że stoi na scenie. Nigdy dotąd przy mnie nie występowała, zupełnie jakby tę część siebie zostawiła w poprzednim życiu. Teraz światła były zgaszone, ale mimo ciemności widziałem, jak macha na przyjaciół, woła ich na scenę. Byli Jane i ich stary perkusista, a do tego znajomy z kancelarii z gitarą basową i jeszcze parę innych osób. Grupka ludzi, których dobrze nie znałem, części to właściwie w ogóle nigdy nie widziałem na oczy. Ich obecność była jak symbol całego tego życia, jakie miała przede mną, ważnej części jej osobowości, do której w pewnym sensie nie miałem dostępu.

Gdy zobaczyłem ją tam, na scenie, poczułem smutek i ekscytację jednocześnie. Smutek, bo mimo wszystko czułem się trochę odrzucony i nieważny. Ale jednocześnie było w tym coś radosnego, bo przecież Alice stanowiła dla mnie tajemnicę, w tym najlepszym tego słowa znaczeniu. Alice wyciągnęła rękę w stronę Finnegan. Światło zrobiło się niebieskawe i dotarło do mnie, że to dlatego, że gdy w stronę sceny ruszył Finnegan, wszyscy zaczęli po cichu wyciągać komórki i nagrywać.

Alice stała tak bardzo długą chwilę. Głosy ucichły, wszyscy czekali. W końcu podeszła do mikrofonu.

– Moi drodzy – powiedziała. – Dziękuję wam, że jesteście tu dziś z nami.

Potem wskazała na mnie i rozległ się cichy dźwięk organów. To Finnegan już szalał na klawiszach. Grał naprawdę pięknie, a jego tęskna melodia wciągała kolejne instrumenty. Alice stała, kiwała się lekko w rytm muzyki i patrzyła na mnie. Zapaliły się światła, a Finnegan przeszedł w melodię, którą rozpoznałem natychmiast. Była to stara piosenka Led Zeppelin, ta subtelna, ale wchodząca do głowy, idealna melodia na ślub, *All My Love*. Alice śpiewała – z początku cicho, jakby niepewnie, ale potem jej głos stał się głośniejszy. Jakimś cudem byli z Finneganem idealnie zgrani.

Muzyka nabrała mocy, a Alice weszła w krąg światła, zamknęła oczy i powtórzyła piękny refren, takie proste wyznanie, i wtedy po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że tak, ona mnie naprawdę kocha. Rozejrzałem się po namiocie i w słabym świetle ujrzałem twarze zasluchanych przyjaciół i krewnych, kołyszących się w rytm melodii.

Potem nastrój piosenki nieco się zmienił, bo Alice zaśpiewała ten kluczowy wers, o którym zupełnie zapomniałem, proste pytanie, ale jednak zupełnie zmieniające wydźwięk całego utworu, pokrywające go cienką warstwą dwuznaczności, wątpliwości. Przez chwilę poczułem się zupełnie dezorientowany. Chwyciłem się krzesła, rozejrzałem wokół. Wszystko zalewała

księżycowa poświata – tłum, pastwiska, krowy śpiące na łące, rzekę. Z boku sceny zobaczyłem żonę Finneganą w zielonej sukience. Tańczyła z zamkniętymi oczami, zasluchana.

Impreza ciągnęła się potem wiele godzin. O świcie jeszcze siedzieliśmy z kilkorgiem gości nad basenem i patrzyliśmy na wschód słońca nad rzeką. My z Alice zajmowaliśmy jeden leżak, Finneganowie drugi.

W końcu Finneganowie zabrali płaszcze i buty i ruszyli do wyjścia.

– Odprowadzimy was – zaproponowała Alice.

Gdy tak szliśmy razem, miałem wrażenie, że znamy się od lat. Dopiero kiedy wsiadali do lamborghini, którym przyjechali – pożyczonego od znajomego, jak wyjaśnił Finnegan, puszczając do nas oko – przypomniałem sobie o prezencie.

– A! – zawołałem. – Zupełnie zapomniałem wam podziękować. Mieliśmy przecież pogadać o tym intrygującym prezencie od was.

– Oczywiście – odpowiedział Finnegan. – Wszystko w swoim czasie. – Jego żona się uśmiechnęła. – Jutro wracamy do Irlandii, ale odezwę się do was, kiedy wrócicie z podróży poślubnej.

I tyle. Potem jeszcze dwa tygodnie w zupełnie opuszczonym, ale niegdyś wspaniałym hotelu nad Adriatykiem, długi lot do domu i nagle znów byliśmy tam, gdzie przedtem – wszystko tak samo, tylko że teraz byliśmy małżeństwem.

Czy to koniec, czy dopiero początek?

ROZDZIAŁ 5

Po powrocie z miesiąca miodowego obydwójce bardzo się sturaliśmy nie dopuścić do rozczarowania szarą rzeczywistością, o które tak łatwo po wspaniałej imprezie i kilku tygodniach na spokojnej, słonecznej plaży. Pierwszego wieczoru w naszym małym domku w San Francisco – zaledwie dziesięć przecznic od krawędzi kontynentu i najmniej słonecznej plaży na świecie – wyciągnąłem zastawę od babci i przygotowałem czterodaniowy obiad z eleganckimi serwetkami i świecami. Mieszkaliśmy razem już ponad dwa lata, a chciałem, żeby teraz po ślubie było jakoś inaczej.

W internecie znalazłem przepis na pieczeń z ziemniakami. Rezultaty były oplakane – gęsta, brązowa katastrofa mięsna. Ale moja kochana Alice zjadła całą porcję i oświadczyła, że było pyszne. Choć jest bardzo drobna – metr sześćdziesiąt pięć, i to na obcasach – naprawdę potrafi docenić dobry posiłek. Zawsze mi się to w niej podobało. Na szczęście mój honor kucharza uratował deser – babka z czekoladową polewą. Następnego wieczoru spróbowałem innego przepisu. Tym razem poszło mi lepiej.

– Czy ja się może za bardzo staram? – spytałem kontrolnie.

– Utuczyć mnie? Niewykluczone – mruknęła Alice, maczając nóżkę kurczaka w ziemniaczanym purée.

A potem jakoś wróciliśmy do starych zwyczajów. Znów zamawialiśmy pizzę z kielbasą albo inne fast foody i wcinaliśmy je przed telewizorem. I właśnie gdy oglądaliśmy ciurkiem cały sezon *Życia po przedszkolu*, zawibrowała komórka Alice.

Alice spojrzała na telefon.

– E-mail od Finnegana – powiedziała.

– Co pisze?

– „Jeszcze raz dziękuję, że zaprosiliście nas na Wasze zaślubiny – przeczytała na głos. – Uwielbiamy piękne śluby i wzruszające przyjęcia. Byliśmy zaszczyceni, mogąc być z Wami w ten wyjątkowy dzień”.

– To mile.

– „Fiona mówi, że tak bardzo przypominacie jej nas sprzed dwudziestu lat – ciągnęła Alice. – Nalega, byście przyjechali do nas na lato”.

– O – zdziwiłem się. – Wygląda na to, że naprawdę chcą się zaprzyjaźnić.

– „Wracając do prezentu. Pakt to coś, co otrzymaliśmy z Fioną z okazji naszego ślubu. Paczkę znaleźliśmy na schodach w pewien deszczowy poniedziałkowy poranek. Dopiero dwa tygodnie później dowiedzieliśmy się, że dostaliśmy ją od mojego nauczyciela gitary z dzieciństwa, pewnego staruszka z Belfastu”.

– Oddali nam stary prezent? – spytałem zaskoczony.

– Nie – powiedziała Alice. – Chyba nie o to chodzi. – Znów spojrzała na komórkę i czytała dalej: – „Był to najlepszy podarunek, jaki z Fioną otrzymaliśmy. Prawdę powiedziawszy, jedyny, który właściwie zapamiętałem. Przez te wszystkie lata przekazaliśmy Pakt kilku innym nowożeńcom. Powinienem może od razu Was uprzedzić, że nie jest to coś dla każdego, ale choć znam Was tak krótko, czuję, że dla Was będzie idealny. Czy mogę w związku z tym zadać Wam kilka pytań?”.

Alice szybko odpisała mu, że tak.

Popatrzyła na telefon.

Bzz.

– „Wybaczcie śmiałość – znów przeczytała na głos – ale czy chcielibyście, by Wasze małżeństwo było na zawsze? Tak czy nie? Musicie odpowiedzieć zgodnie z prawdą”.

Alice spojrzała na mnie nieco zaskoczona, chwilę się zawa-
hała, ale potem napisała: „Tak”.

Znów bzyczenie komórki.

Moja żona wyglądała na coraz bardziej zaintrygowaną, jak-
by Finnegan prowadził ją w jakąś ciemną uliczkę.

„Czy wierzycie, że każde długie małżeństwo przeżywa za-
równo okresy szczęścia i smutku, jasności i ciemności?”

„Oczywiście”.

Bzz.

„Czy obydwójce jesteście gotowi pracować nad tym, żeby Wa-
sze małżeństwo było na zawsze?”

– Też pytanie – mruknąłem.

Alice odpisała.

Bzz.

„Czy ktoś z Was ma zwyczaj się łatwo poddawać?”

„Nie”.

„Czy obydwójce jesteście otwarci na nowości? Czy jesteście
gotowi przyjąć pomoc przyjaciół, jeśli oferują ją z myślą o Wa-
szym szczęściu i małżeństwie?”

Trochę mętne. Alice popatrzyła na mnie.

– Co myślisz? – spytała.

– Jeśli o mnie chodzi, to tak – powiedziałem.

– Dobra, to ja też jestem za – stwierdziła i odpisała.

Bzz.

„Doskonale. Macie czas w sobotę przed południem?”

Podniosła wzrok.

– Mamy?

– Jasne – powiedziałem.

„Tak – napisała. – Jesteście może w San Francisco?”

„Niestety jestem teraz w studiu pod Dublinem, ale złożę Wam
wizytę moja przyjaciółka Vivian, która opowie Wam o Pakcie.

Będę zaszczycony, jeśli zdecydujecie się dołączyć do naszej wyjątkowej grupy. Czy dziesiąta rano Wam odpowiada?”

Alice rzuciła jeszcze okiem na kalendarz w komórce, a potem znów napisała: „Tak”.

Bzz.

„Doskonale. Jestem pewien, że przypadniecie sobie z Vivian do gustu”.

Czekaliśmy jeszcze chwilę, ale nie dostaliśmy już więcej wiadomości. Gapiliśmy się tępo w komórkę, ale nie zabzyczała.

– Czy to ci się nie wydaje nieco... przekombinowane? – spytałem w końcu.

– Co nam szkodzi spróbować? – odparła Alice z uśmiechem.

ROZDZIAŁ 6

Parę słów o mnie. Pracuję jako psycholog i terapeuta. Choć miałem kochających rodziców i – w każdym razie na pozór – sielankowe dzieciństwo, dorastanie bywało dla mnie niełatwe. Z perspektywy czasu muszę powiedzieć, że nie wybrałem tej kariery – to ona wybrała mnie.

Na Uniwersytet Kalifornijski, kampus Los Angeles, czyli tak zwane UCLA, trafiłem jako student biologii, ale przyszłość związałem z czymś innym. Już na początku drugiego roku zacząłem pracować jako tak zwany doradca rówieśniczy. Szkolenia szalenie mi się podobały, praca jeszcze bardziej. Lubilem rozmawiać z ludźmi, słuchać o ich problemach, pomagać w znalezieniu rozwiązania. Kiedy skończyłem studia, nie chciałem, by moja „kariera” doradcy zakończyła się wraz z opuszczeniem uniwersytetu, poszedłem więc jeszcze na psychologię, tym razem na Uniwersytecie Kalifornijskim w Santa Barbara. Po doktoracie wylądowałem na stażu w San Francisco. Tu zacząłem pracować z młodzieżą z grupy ryzyka.

Dziś prowadzę niewielką poradnię terapeutyczną. Założyliśmy ją z przyjaciółmi, których poznałem podczas tego właśnie stażu. Kiedy zaczynaliśmy osiemnaście miesięcy temu w starym warsztacie napraw odkurzaczy, baliśmy się, że nic z tego

nie będzie. Braliśmy nawet pod uwagę możliwość, że będziemy na boku sprzedawać kawę i moje słynne ciasteczka z czekoladą, żeby w ogóle było na czynsz.

W końcu jednak okazało się, że nasza przychodnia radzi sobie bez desperackich rozwiązań. Obydwoje moi partnerzy – Evelyn (lat trzydzieści osiem, samotna, superinteligentna, jedynaczka z Oregonu) oraz Ian (Anglik, czterdzieści dwa lata, także samotny, gej, najstarszy brat z trojga rodzeństwa) – są ciekawymi, sympatycznymi i ogólnie szczęśliwymi ludźmi. I chyba ta ich radość życia jakoś popchnęła nasz interes do przodu.

Każde z nas zajmuje się swoją specjalizacją. Evelyn skupia się na uzależnieniach, Ian koncentruje się na zarządzaniu złością u dorosłych oraz zaburzeniach obsesyjno-kompulsyjnych, a ja pracuję z dziećmi i młodzieżą. Pacjenci, którzy w jasny sposób podlegają którejś z tych kategorii, zostają przypisani jednemu z nas. Resztą dzielimy się po równo. Chociaż ostatnio postanowiliśmy rozszerzyć działalność o jeszcze jedną specjalizację. A raczej Evelyn postanowiła. Po powrocie z podróży poślubnej zaskoczyło mnie odkrycie, że już mi zaplanowała kompletnie dla mnie nowe terapie małżeńskie.

– Ze względu na moje nadzwyczajne doświadczenie w tej dziedzinie, jak rozumiem?

– Otóż to.

Evelyn, nasz geniusz marketingowy, zdążyła mi już załatwić trzech nowych klientów. Kiedy zaprotestowałem, pokazała mi bardzo uczciwe e-maile, w których uprzedziła pacjentów, że mam kilka lat doświadczenia w terapii i dokładnie dwa tygodnie osobistego doświadczenia w małżeństwie.

Nie znoszę być nieprzygotowany, kiedy więc Evelyn wyskoczyła z tymi nowinkami, natychmiast przeszedłem w tryb „panika” i rzuciłem się do czytania wszystkiego, co mi wpadło do rąk. Przeczytałem o historii małżeństwa w ogóle i ze zdumieniem odkryłem, że małżeństwo monogamiczne pojawiło się w społecznościach zachodnich zaledwie osiemset lat temu.

Odkryłem też, że osoby zamężne i żonate żyją dłużej niż osoby stanu wolnego. Ten faktoid obił mi się kiedyś o uszy, ale nigdy dotąd nie przyjrzałem się tym badaniom. Są dość przekonujące.

Ale przecież Groucho Marx powiedział: „Małżeństwo to wspaniała instytucja, tylko kto by chciał żyć w instytucji?”.

Spisałem sobie też różne inne cytaty z internetu i całej półki książek o małżeństwie, które wykupiłem z księgarni przy moim biurze.

„Udane małżeństwo to takie, w którym zakochujesz się wiele razy – zawsze w tej samej osobie”.

„Nie przytłaczajcie się nawzajem. Nic nie rośnie w cieniu”.

Tego typu rzeczy. Może i cytaty to prymitywne zagranie, ostatnia deska ratunku dyletanta, ale jednak podczas sesji lubię mieć parę pod ręką. Zdarza się przecież, że nie wiem, co powiedzieć, i wtedy są jak znalazł. Mądrości Groucho Marksa mogą przełamać lody, wyprowadzić nas na jakieś nowe terytorium albo po prostu dać mi chwilę na zebranie myśli.

ROZDZIAŁ 7

W sobotę rano wstaliśmy wcześniej, żeby się przygotować do wizyty Vivian. O 9.45 Alice skończyła odkurzać, a ja wyjąłem z piekarnika bułeczki cynamonowe. Wcale tego tak nie uzgadnialiśmy, ale obydwójce ubraliśmy się nieco zbyt elegancko. Kiedy wyszedłem z sypialni w koszuli i lekkich spodniach, których od miesiący nie nosilem, Alice parsknęła śmiechem.

– Jeśli tylko będę potrzebowała telewizora z płaskim ekranem, od razu po ciebie zadzwonię.

Oczywiście usiłowaliśmy zaprezentować się i nasz mały domek z odrobiną widoku na Pacyfik od jak najlepszej strony. Nie wiem właściwie, dlaczego zdawało nam się, że powinniśmy zrobić dobre wrażenie na Vivian, ale choć żadne z nas nie powiedziało tego na głos, było dla nas jasne, że tak właśnie jest.

O 9.52 Alice przebrała się po raz trzeci. Weszła do salonu i okręciła się w niebieskiej sukience w kwiaty.

– Przesadziłam?

– Nie, jest idealnie.

– A buty?

Miała na stopach bardzo poważne czółenka na obcasach. Nosila je tylko do pracy.

– Zbyt oficjalne – oceniłem.

– Dobra. – Znów zniknęła i wróciła w czerwonej, bardziej fantazyjnej parze.

– Teraz świetnie – pochwaliłem żonę.

Wyrzałem przez okno, ale nikogo nie zobaczyłem. Byłem trochę zdenerwowany. Zupełnie jakbyśmy czekali na rozmowę o pracę, o którą nawet się nie staraliśmy. Ale jednak przecież tego chcieliśmy. Skrzynka, pióra, tajemnicze e-maile – wszystko to wydawało się ciekawe i, tak, jeśli mam być szczery, bardzo ekskluzywne. W głębi duszy Alice jest szalenie ambitna, chce zawsze dokończyć wszystko, co zacznie. I zawsze wygrać, bez względu na to, czy to jest dla niej korzystne czy nie.

O 9.59 znów wyrzałem przez okno. Była gęsta mgła i nie widziałem żadnych samochodów.

Potem na naszych schodach rozległy się kroki. Obcasy. I to poważne. Alice spojrzała na swoje buty, potem na mnie i szepnęła:

– Błąd!

Podszedłem do drzwi i otworzyłem.

– Witamy – powiedziałem bardziej oficjalnie, niż zamierzałem.

Vivian miała na sobie dobrze uszytą, ale niesamowicie żółtą sukienkę. Odcień Tour de France. Wyglądała na młodszą, niż się tego spodziewałem.

– Ty pewnie jesteś Jake – rzuciła od progu. – A ty – dodała – Alice. Wyglądasz jeszcze piękniej niż na zdjęciu.

Alice nie spłonila się, bo to nie w jej stylu. Przechyliła tylko głowę i przyjrzała się Vivian, jakby usiłując ją rozgryźć. Znając Alice, pewnie od razu zaczęła podejrzewać jakieś ukryte zamiary, ale ja czułem, że Vivian powiedziała to szczerze. Alice po prostu robi takie wrażenie. A jednak wiem, że Alice bez namysłu zamieniłaby te swoje wysokie kości policzkowe, wielkie zielone oczy i gęste czarne włosy na normalną rodzinę, żyjącą, kochającą się, na matkę niezatrzuwającą sobie wątroby, na ojca niezatrzuwającego sobie płuc, na brata, który nie wybrałby, jak to ludzie niesłusznie mówią, „najprostszego wyjścia”.

Vivian za to była atrakcyjna w ten sposób, który wynika z pewności siebie, dobrego wychowania i smaku. Jej styl można by podsumować jako osiemdziesiąt procent „załatwiam interesy”, a dwadzieścia „sobotni brunch ze znajomymi”. Miała ze sobą teczkę z pięknej skóry, a na szyi sznur pereł. Kiedy na jej twarz padło światło, zobaczyłem, że musi być już mocno po czterdziestce. Jej włosy były lśniące, skóra piękna – taka, która jest pewnie wynikiem zdrowego odżywiania, regularnych ćwiczeń fizycznych i umiaru we wszystkim. Ocenilibym, że ma dobrą pracę w firmie informatycznej, trochę akcji i roczną premię, której wysokość nigdy nie rozczarowuje.

Gdy po raz pierwszy spotykam się z pacjentami, zwykle potrafię od razu ocenić skalę problemu. Lata stresu, niepokoju i niepewności siebie wyciskają piętno na ludzkiej twarzy. Są jak rzeka, powoli żłobią koryto w niemal niezauważalny sposób, aż z czasem wszystko zaczyna być widoczne gołym okiem.

W chwili, gdy słońce przebiło się przez mgłę, załaził nasz salon i oświetliło twarz Vivian, zrozumiałem, że ta kobieta nie doświadczyła w życiu prawie żadnego stresu, niepokoju czy niepewności.

– Kawy? – zaproponowałem.

– Tak, poproszę.

Vivian usiadła w naszym wielkim niebieskim fotelu, który kosztował pół pierwszej wypłaty Alice. Otworzyła teczkę i wyciągnęła z niej laptopa i malutki rzutnik.

Niechętnie wyszedłem do kuchni. Teraz dopiero mam świadomość, że instynktownie bałem się zostawić Alice samą z Vivian. Kiedy wróciłem z kawą, rozmawiały o naszej podróży poślubnej i pięknie wybrzeża Adriatyku. Vivian spytała, jak nam się podobał hotel – знаła jego nazwę. Skąd?

Usiadłem obok Alice i podałem każdemu z nas po bułeczce.

– Dziękuję – powiedziała Vivian. – Uwielbiam bułeczki cynamonowe.

Podłączyła rzutnik do laptopa i wstała.

– Mogę zdjąć tę ramkę?

Już właściwie zdejmowała zdjęcie ze ściany. Była to fotografia Martina Parra, którą Alice podarowała mi na ostatnie urodziny. Zawsze mi się podobała, ale nigdy nie było mnie na nią stać. Przedstawiała samotnego mężczyznę pływającego w burzowy dzień na starym publicznym basenie; obok szalejące, zielone morze w jakimś zapyziałym szkockim miasteczku. Kiedy spytałem Alice, gdzie udało jej się kupić to zdjęcie, parsknęła tylko śmiechem.

– Kupić? Gdyby to było takie proste...

Teraz Vivian odwróciła się w naszą stronę.

– A więc, co Liam już wam powiedział?

– W zasadzie – odezwała się Alice – to nic.

– Może w takim razie otworzymy skrzynię? – zaproponowała Vivian. – Jake’u, przynieś tylko tę mniejszą. I pióra.

Posłusznie podreptałem korytarzem do pokoju na tyłach domu, gdzie trzymaliśmy wszystkie te prezenty ślubne, za które jeszcze nie podziękowaliśmy. Niby dobre wychowanie nakazuje wysłać kartkę z podziękowaniami w ciągu roku od otrzymania prezentu, ale w dobie e-maili i esemesów rok to wieczność. Dlatego za każdym razem, gdy patrzyłem na te nasze prezenty, czułem wyrzuty sumienia, że jeszcze za nic nie podziękowaliśmy.

Położyłem skrzynkę i pióra na stoliku przed Vivian.

– Nadal zamknięta – stwierdziła z uśmiechem. – Przeszłście pierwszą próbę.

Alice nerwowo upiła łyk kawy. Skrzynkę zauważyła dopiero po naszym powrocie z wakacji. Wtedy natychmiast próbowała ją otworzyć za pomocą pęsety, ale jej się nie udało.

Vivian sięgnęła do teczki i wyciągnęła złote kluczyki. Znalazła ten właściwy i włożyła w zamek, ale nie przekręciła.

– Potrzebuję ustnej zgody, że jesteście gotowi kontynuować – powiedziała. Spojrzała wyczekująco na Alice.

Teraz już wiem, że to był właśnie ten moment, kiedy powinniśmy się byli zorientować, że coś tu nie gra. Powinniśmy

byli odesłać Vivian z kwitkiem, przestać odbierać telefony od Finnegana. Zakończyć to wszystko, nim się naprawdę zaczęło. Ale byliśmy młodzi, ciekawi, a nasze małżeństwo było jeszcze takie świeże, nowe. Prezent od Finnegana stanowił dla nas zagadkę, jego wysłanniczka zdawała się bardzo przejęta swoim zadaniem. Niegrzecznie byłoby jej odmówić.

Alice skinęła głową.

– Jesteśmy gotowi.

ROZDZIAŁ 8

Vivian włączyła rzutnik i na miejscu zdjęcia Martina Parra pojawił się slajd z napisem: „Pakt”.

I nic poza tym. Czcionka Courier, wielkie czarne litery na białym tle.

– A więc – zaczęła Vivian, wycierając palce w serwetkę, która została po naszym ślubie. Wciąż czułem to miłe zaskoczenie za każdym razem, gdy patrzyłem na imiona na serwetce: „Alice i Jake”. – Muszę wam teraz zadać kilka pytań.

Wyciągnęła z teczek czarny skórzany notatnik. Rzutnik nadal wyświetlał na naszej ścianie napis „Pakt”. Starałem się nie patrzeć na te wielkie litery, jakby zagrażające naszemu światu, delikatnemu jeszcze małżeństwu.

– Żadne z was nie ma za sobą innych małżeństw, prawda?

– Prawda – przytaknęliśmy razem.

– Ile trwał najdłuższy z waszych poprzednich związków?

– Dwa lata – powiedziała Alice.

– Siedem – powiedziałem.

– Lat? – upewniła się Vivian.

Pokiwałem głową.

– Interesujące. – Zapisała coś w notesie. – Jak długo trwały małżeństwa waszych rodziców?

- Dziewiętnaście lat – odpowiedziała Alice.
- Czterdzieści coś – pochwaliłem się, czując niezasłużoną dumę z małżeńskiego sukcesu rodziców. – I nadal są razem.
- Doskonale. – Vivian pokiwała głową. – Alice, czy małżeństwo twoich rodziców zakończyło się rozwodem?
- Nie.

Niedawna śmierć ojca była dla niej jeszcze zbyt bolesnym wspomnieniem i wiedziałem, że nie chce o tym mówić. Alice jest trochę jak zamknięta księga. Jako terapeuta – że już o mojej roli jako jej męża nie wspomnę – mam czasem trudności z zaakceptowaniem tej jej cechy.

Vivian pochyliła się, oparła łokcie na notesie.

- Jak się wam wydaje, jaki jest najczęstszy powód rozwodów na Zachodzie?

- Może ty zacznij – zaproponowała Alice, klepiąc mnie w kolano.

Nie musiałem się nad tym długo zastanawiać:

- Zdrada.

Spojrzelismy z Vivian wyczekująco na moją żonę.

- Klaustrofobia? – rzuciła Alice.

Nie na taką odpowiedź liczyłem.

Vivian zapisała sobie nasze odpowiedzi.

- Czy uważacie, że ludzie powinni ponosić odpowiedzialność za swoje czyny?

- Tak.

- Tak.

- Czy waszym zdaniem terapia małżeńska może być skuteczna?

- No! Mam nadzieję! – Roześmiałem się.

Znów coś zapisała. Pochyliłem się, żeby zobaczyć, co tak notuje, ale jej pismo było zbyt drobne. Zatrzasnęła notes, rzucając przy tym nazwiska dwojga znanych aktorów, którzy się niedawno rozstali. W ciągu ostatnich miesięcy na

każdym kroku pojawiały się jakieś jarmarczne szczegóły z ich rozvodu.

– Które z nich jest według was odpowiedzialne za ten rozwód?

Alice zmarszczyła brwi. Wyraźnie zastanawiała się, co chce usłyszeć Vivian. Jak już mówiłem, Alice jest naprawdę ambitna. Nie chce jakkolwiek zaliczyć egzaminu – ona chce go zdać na szóstkę.

– Moim zdaniem odpowiedzialność leży po obu stronach – powiedziała. – To, co zrobiła z Tylerem Doyle'em, nie było pewnie zbyt dojrzałe, ale też mąż nie zareagował najlepiej. Nie musiał przecież wysłać takich tweetów.

Vivian pokiwała głową, a Alice lekko się wyprostowała, wyraźnie z siebie zadowolona. Przemknęło mi przez myśl, że tak pewnie wyglądała w szkole – zawsze z ręką w górze, zawsze przygotowana do lekcji i chętna do odpowiedzi. Wydała mi się w tej chwili bardzo wrażliwa. Było coś nadzwyczajnie słodkiego w tym, że ta moja żona ze świetną pracą, wielomilionowymi ugodami i tak dorosłymi ciuchami z całej siły stara się odpowiedzieć na jakieś pytanie niczym mała dziewczynka.

– Jak zawsze zgadzam się z żoną.

– Dobra odpowiedź – powiedziała Vivian i puściła do mnie oko. – Jeszcze kilka pytań. Wasz ulubiony napój?

– Schłodzone mleko czekoladowe – powiedziałem. – A zimą gorącą czekoladą.

Alice chwilę się zastanawiała.

– Kiedyś sok żurawinowy z wódką i lodem. Teraz woda Calistoga o smaku żurawiny. A twój?

Vivian wyglądała na lekko zaskoczoną, że odważyliśmy się ją o coś zapytać.

– Pewnie green spot, dwunastoletnia, czysta – odparła, przeglądając znów papiery. – I jeszcze z grubej rury: czy chcielibyście, żeby wasze małżeństwo trwało na zawsze?

- Tak – powiedziałem bez zastanowienia. – Oczywiście.
- Tak – powiedziała Alice tak, jakby naprawdę była tego pewna, ale skąd miałem wiedzieć, czy nie mówi tego tylko, żeby zaliczyć test?
- Koniec pytań – oświadczyła Vivian, wkładając notatnik do teczki. – Spojrzymy teraz na slajdy?

ROZDZIAŁ 9

– Pakt to grupa osób, które łączą podobne podejście i cel – zaczęła Vivian. – Założyła go w 1992 roku na małej wyspie przy wybrzeżu Irlandii Północnej Orla Scott. Od tego czasu Pakt rozrósł się znacząco pod względem skali i zobowiązań. Zmieniły się reguły, sposób zarządzania, zwiększyła liczba członków oraz zasięg ich działania, ale wciąż pozostajemy wierni misji i duchowi Paktu zakreślonym przez Orlę u zarania naszej organizacji.

Pochyliła się w fotelu tak, że nasze kolana prawie się stykały. Komputer wciąż wyświetlał na naszej ścianie słowo „Pakt”.

– Czyli to jest coś w rodzaju klubu? – spytała Alice.

– I tak, i nie – odparła Vivian.

Na pierwszym slajdzie ujrzeliśmy wysoką, schludną kobietę stojącą przed białym domkiem z oceanem w tle.

– Orla Scott była prawniczką, prokuratorem – opowiadała Vivian. – Była niezwykle skupiona na pracy. Sama siebie określiła jako karierowiczkę. Była zamężna, bezdzietna. Chciała móc poświęcić cały swój czas na pracę, piąć się po szczeblach kariery w Ministerstwie Sprawiedliwości i nie pozwalała, by cokolwiek ją powstrzymywało. Gdy miała trzydzieści parę lat, w ciągu jednego roku zmarli jej rodzice, opuścił ją mąż i zwolniono ją z pracy.

Alice patrzyła na zdjęcie na ścianie. Pewnie dobrze rozumiała Orlę. Wiedziała aż za dużo o tym, jak to jest kogoś stracić.

– Orla wniosła akt oskarżenia w ponad trzech tysiącach spraw – ciągnęła Vivian. – Ponoć wygrała je wszystkie. Była trybikiem w maszynie Thatcher, więc gdy tylko Thatcher straciła władzę, Orla została bez pracy. Wróciła wtedy na wyspę Rathlin, gdzie się wychowała. Wynajęła chatę, chcąc zaszyć się w niej na tydzień czy dwa, żeby jakoś się pozbierać, obmyślić następny krok. Po kilku dniach poczuła jednak, że nie potrafi oprzeć się temu spokojnemu życiu na wyspie, cichej egzystencji, którą знаła przecież z dzieciństwa. Uświadomiła sobie, że wszystko, co tak ceniła, z tej perspektywy wydaje się mało ważne. Uciekła na wyspę, żeby poradzić sobie ze stresem i niepokojem po stracie pracy, ale uświadomiła sobie, że to właściwie nie wstrząsnęło nią aż tak bardzo. Tak naprawdę o wiele bardziej przeżyła rozpad małżeństwa. Jej mąż był mężczyzną, w którym zakochała się bez pamięci na studiach. Pobrali się w młodym wieku, ale potem stopniowo odsuwali się od siebie. Kiedy wniósł pozew o rozwód, zwyczajnie jej ulżyło. Uznała, że dzięki temu odpada jej tylko mnóstwo problemów, o których nie będzie już musiała myśleć. Prawda była taka, że postrzegала małżeństwo jako uciążliwość, coś, przez co czuła się winna za każdym razem, gdy musiała dłużej zostać w pracy. Zdecydowała się na pracę w prokuraturze z idealizmu, z chęci niesienia pomocy ofiarom. W ciągu kilku miesięcy po rozwodzie spoglądała jednak na to wszystko zupełnie inaczej. Uświadomiła sobie, że jest uzależniona od adrenaliny, szybko przechodzi od sprawy do sprawy, nie dając sobie czasu na spoglądanie na nic z szerszej perspektywy. Z czasem stała się tylko częścią zmieniającego się układu politycznego, którego nawet właściwie nie szanowała. Po prostu wpadała w wir codziennych zadań. Gdy wszystko to stało się już dla niej jasne, zaczęła analizować historię swojego małżeństwa. Próbowала nawet uratować ten związek, ale jej mąż już miał inne życie. – Vivian mówiła teraz

bardzo szybko, jakby sama była zachwycona opowieścią, którą powtarzała już pewnie wiele razy. – Rok później, podczas codziennego spaceru po wyspie Orla poznała Richarda. Był amerykańskim turystą, który wybrał się na samotną wycieczkę po irlandzkich wyspach, by odnaleźć rodzinne korzenie. Richard zrezygnował z lotu, rzucił pracę w Stanach, przedłużył rezerwację pokoju w jedynym pensjonacie na wyspie, a po jakimś czasie oświadczył się Orli.

Czułem, że coś tu zaniepokoiło Alice.

– W tej historii wszyscy rezygnują z kariery – zauważyła. – Czy to jedno z wymagań przynależności do klubu? Bo my z Jakiem bardzo lubimy nasze prace.

– Zapewniam was, że Pakt ma wielu członków, przykładem może tu być wasz sponsor, którzy odnieśli znaczący sukces w biznesie – odparła na to Vivian. – Pakt chce, żebyście pozostali sobą, ale byli jeszcze lepsi.

To mi zabrzmiało jak hasło skautów.

– Orla nie była pewna, czy przyjąć oświadczyzny Richarda – kontynuowała opowieść Vivian. – Rozumiała już dobrze, jakie błędy popełniła w poprzednim małżeństwie, i nie chciała ich powtórzyć. Wierzyła w siłę nawyku. Gdy już coś wejdzie nam w zwyczaj, trudno to zmienić.

– Każdy może się zmienić! – zaprotestowałem. – Moja praca, sama idea terapii opiera się na tym założeniu.

– Oczywiście – przytaknęła Vivian. – I Orla pierwsza by się z tobą zgodziła. Uznała, że jeśli jej drugie małżeństwo ma być udane, potrzebuje jasnej strategii działania. Przez wiele dni chodziła po wybrzeżu i dumiała nad małżeństwem: nad tym, co je niszczy, i nad tym, co je umacnia. Potem w chacie spisywała przemyślenia na tej samej maszynie, na której kilkadziesiąt lat wcześniej pisała jej matka, od zawsze marząca o zostaniu pisarką. Po siedemnastu dniach miała już spory stos zapisanych kartek, powstał *Podręcznik*, system niezawodnego małżeństwa. Nie przesłyszeliście się: system. Efektywny, oparty na

naukowych faktach, sprawdzony już wielokrotnie. Orla uznała, że w małżeństwie nie wolno zdawać się na kaprys losu. I tak pomysły, które zrodziły się w jej głowie podczas tych spacerów, stały się podstawą Paktu.

– Czy Orla wyszła w końcu za Richarda? – spytałem.

– Tak.

Alice aż pochyliła się do przodu:

– I nadal są małżeństwem? – spytała.

Vivian z przejęciem pokiwała głową.

– Oczywiście, że tak – zapewniła nas. – Jak my wszyscy. Pakt naprawdę działa. Zadziałał w przypadku Orli, zadziałał w moim i zadziała w waszym. Upraszczając, na Pakt składają się dwie rzeczy. Umowa, którą zawiera się z małżonkiem. I członkostwo w grupie... – kliknęła na nowy slajd i wskazała nam zdjęcie szczęśliwych ludzi na zielonym trawniku – w grupie osób o podobnym podejściu, które będą was wspierać i egzekwować wypełnienie tej umowy. Wszystko jasne?

– Nie do końca – przyznała Alice z uśmiechem. – Ale to na pewno fascynujące.

Vivian przeleciała przez kilka kolejnych slajdów. Na większości widać było dzianych ludzi bawiących się wyśmienicie na zadbanych trawnikach lub w stylowo umeblowanych pomieszczeniach. Zatrzymała się przy zdjęciu Orli na jakimś balkonie. Orla zwracała się do słuchającego ją w skupieniu tłumu. Za nią jasne słońce i bezkresna pustynia.

– Orlę pociągało prawo – powiedziała Vivian. – Podobało jej się to, że ustala jasne granice i twardo je egzekwuje, a jeśli nie, ścieżkę postępowania wyznaczają precedensy. Czuła się lepiej z myślą, że może znaleźć wszystkie odpowiedzi. Uświadomiła sobie, że małżeństwo, podobnie jak społeczeństwo, potrzebuje zbioru praw. Była przekonana, że brytyjskie społeczeństwo od stuleci funkcjonuje tak sprawnie właśnie dzięki prawu. Wszyscy wiedzą, czego się od nich oczekuje. Choć oczywiście zdarzają się osoby, które chcą oszukiwać, kraść, czy nawet, Boże

broń, mordować, zdecydowana większość obywateli nie łamie prawa, bo ma świadomość konsekwencji. Kiedy jej pierwsze małżeństwo zakończyło się fiaskiem, Orla zrozumiała, że niejasne były nie tylko oczekiwania, ale także konsekwencje.

– Czyli Pakt próbuje przenieść zasady brytyjskiego prawa na grunt małżeństwa? – upewniłem się.

– „Próbuje” to mało powiedziane. Pakt to robi. – Vivian wyłączyła rzutnik. – Nie sposób przecenić wartości Paktu. Pakt to wsparcie wspólnoty, zachęta i nadanie instytucji małżeńskiej jasnej struktury.

– Wspomniłaś o konsekwencjach – powiedziała Alice. – Chyba nie do końca rozumiem.

– Pozwólcie, że wyjaśnię wam to na własnym przykładzie – odpowiedziała na to Vivian. – Mam za sobą jedno nieudane małżeństwo. Miałam dwadzieścia dwa lata, a on dwadzieścia trzy. Poznaliśmy się w liceum, chodziliśmy ze sobą przez lata. Na początku było wspaniale, tylko my dwoje, razem przeciw światu, ale potem nie wiem, co się stało, ale zaczęłam się czuć samotna. Borykaliśmy się z tyloma problemami i nie mieliśmy się do kogo zwrócić o pomoc. Zdradzał mnie. Nie wiedziałam, dlaczego to robi, myślałam, że to moja wina, nie wiedziałam, jak mam zareagować. Rozwód nastąpił tak szybko, jakby to były jedyne drzwi, przez które powinnam jak najszybciej uciec. – Vivian otarła łzę. Wyprostowała się. – Kiedy poznałam Jeremy’ego, byłam przerażona. Zupełnie tak jak niegdyś Orla. Jeremy poprosił mnie o rękę, a ja się zgodziłam, ale potem zaczęłam odwlekać sprawę. Bałam się, że popełnię te same błędy. Małżeństwo kojarzyło mi się negatywnie.

– I jak to się stało, że trafiłaś na tę organizację? – spytała Alice.

– W pewnym momencie zabrakło mi już wymówek. Jeremy chciał ustalić datę ślubu, pozwoliłam mu więc na to i wszystko potoczyło się tak szybko. Dwa tygodnie przed ślubem wyjechałam na delegację. Siedziałam w barze na lotnisku w Glasgow, piłam kolejny gin. Pamiętam, że się rozplakałam. Łkałam tak

sama, i to na tyle głośno, że ludzie zaczęli się przesiadać jak najdalej ode mnie. Żalotne. A potem nagle podszedł do mnie pewien starszy dżentelmen, elegancko ubrany, przystojny. Przysiadł się. Wybierał się właśnie w odwiedzinach do syna, który studiował w Palo Alto. Zaczęliśmy rozmawiać. Opowiedziałam mu o ślubie i bardzo mi ulżyło, że mogę zwierzyć się komuś, kto zupełnie nie jest zaangażowany w sprawę. Na Islandii wybuchł akurat wulkan, dwie godziny czekania zmieniły się w osiem. Ale staruszek był tak miły i zajmujący, że to opóźnienie okazało się przyjemnością. Kilka dni później pocztą przyszedł prezent ślubny. I oto jestem. Od sześciu lat szczęśliwa w małżeństwie.

Sięgnęła po drewnianą skrzyneczkę, przekreśliła złoty klucz w zamku i uniosła wieko. W środku znajdowały się jakieś dokumenty wydrukowane granatowym tuszem na eleganckim papierze. Wyjęła je i odłożyła na stół. Pod nimi w skrzynce leżały jeszcze dwie identyczne książeczki oprawione w złotą skórę.

Alice wyciągnęła rękę i zaintrygowana dotknęła okładki.

Vivian podała nam po jednej książce. Ze zdumieniem stwierdziłem, że w skórze wytłoczone są nasze imiona, data ślubu i wielkimi, drukowanymi literami słowo: „PAKT”.

– To *Podręcznik* – wyjaśniła Vivian. – Będziecie musieli nauczyć się go na pamięć.

Otworzyłem książeczkę i zacząłem wertować kartki. Litery były malusieńkie.

Komórka Vivian zaczęła wibrować. Wyciągnęła ją, przesunęła palcem po ekranie i rzuciła do nas:

– Strona czterdzieści trzy: „Kiedy dzwoni małżonek, zawsze odbierz”.

Widząc moje zdezorientowane spojrzenie, wskazała *Podręcznik*, po czym wyszła na naszą werandę i zamknęła za sobą drzwi. Alice uniosła książkę, otworzyła szeroko oczy i szepnęła bezgłośnie:

– Sorki! – Ale się uśmiechała.

– Spoko – odpowiedziałem równie cicho.

Pochyliła się i pocałowała mnie.

Jak już mówiłem, oświadczyłem się Alice, bo nie chciałem jej stracić. Odkąd wróciliśmy z podróży, bałem się, że zacznie się u niej poślubny dół. Wszystko tak szybko wróciło do stanu sprzed ślubu, że naprawdę się niepokoiłem. Alice wymaga dość wysokiego poziomu ekscytacji. Łatwo się nudzi.

Na razie wyglądało na to, że małżeństwo niewiele się różni od zwykłego mieszkania razem – przynajmniej w sensie fizycznym. A jednak w sensie mentalnym był to olbrzymi skok. Nie wiem, jak to właściwie wyjaśnić, ale gdy tylko usłyszałem słowa „Ogłaszam was mężem i żoną”, poczułem się żonaty. I choć miałem nadzieję, że Alice też odczuła tę zmianę, wcale nie byłem tego pewien. Wyglądała na szczęśliwszą, ale szczęście jest takie ulotne.

I właśnie z wszystkich tych powodów właściwie podobało mi się to dziwne coś, w co wciągał nas Finnegan. Muszę przyznać, że liczyłem na to, że dzięki Paktowi ten nowy etap naszego związku będzie bardziej ekscytujący. Może wzmocni więź między nami.

Wróciła Vivian.

– Jak ten czas leci – powiedziała. – Muszę się już zbierać. To co? Podpisujemy?

Podsunała nam zadrukowane arkusze. Czcionka była maleńka, na dole miejsca na podpisy. Vivian złożyła swój podpis po lewej, nad słowem „Zapraszająca”. Pod tym widniał podpis Orli Scott – niebieski atrament nad słowem „Założycielka”. Po prawej podpis Finnegana nad słowem „Sponsor”. Moje nazwisko znajdowało się nad słowem „Mąż”. Vivian podała nam grawerowane pióra ze skrzynki.

– Możemy zatrzymać dokumenty na kilka dni? – zapytała Alice.

Vivian zmarszczyła brwi.

– Oczywiście. Jeśli to konieczne. Ale dziś po południu wyjeżdżam, a naprawdę lepiej byłoby mieć już z głowy tę formalność, żebyście przypadkiem nie przegapili przyjęcia.

– Przyjęcia? – zainteresowała się Alice. Czy już wspominałem, że moja żona uwielbia przyjęcia?

– Będzie wspaniale. – Vivian machnęła lekko w stronę papierów. – Ale oczywiście nie popędzam was. Spokojnie, mamy czas.

– Dobra – mruknęła Alice, odwracając pierwszą stronę. Może stała się już bardziej prawniczką niż muzykiem. Wpatrywałem się w kartki, usiłując się skoncentrować, przebić się jakoś przez prawniczy żargon. Kątem oka obserwowałem Alice. Czytała spokojnie, kilka razy się uśmiechnęła, czasami marszczyła brwi. Pojęcia nie miałem, co o tym wszystkim myśli. W końcu odwróciła ostatnią stronę, wzięła pióro i podpisała. Kiedy zobaczyła moją zdumioną minę, uściśnęła mnie i powiedziała:

– To dla naszego dobra, Jake. A poza tym przecież wiesz, że nie przepuszczę przyjęcia?

Vivian już pakowała rzutnik. Wiedziałem, że powinienem przeczytać wszystko, łącznie z małym druczkiem. Ale Alice chciała to zrobić. A ja chciałem, żeby Alice była szczęśliwa. Czulem ciężar pióra w palcach, gdy składałem podpis.

ROZDZIAŁ 10

U wszystkich nas występuje oczywiście pewien rozziw między tym, kim jesteśmy, a tym, kim nam się zdaje, że jesteśmy. Osobiście uważam, że w moim przypadku ten rozziw nie jest aż taki znowu duży, ale wiem, że jednak jakiś na pewno jest. Przykładowo: naprawdę myślę, że jestem dość popularną, lubianą osobą o większej niż przeciętna liczbie przyjaciół. Mimo to jednak nie dostaję wcale tak wielu zaproszeń na śluby. Nie wiem właściwie, z czego to wynika. Niektórzy ludzie – na przykład Alice – cały czas są zapraszani na śluby.

Ale plus jest za to taki, że świetnie pamiętam każdy ślub, na którym byłem, nawet ten pierwszy.

Miałem trzynaście lat, za mąż wychodziła jedna z moich ukochanych ciotek z San Francisco. Jej związek bardzo szybko się rozwinął i nagle już była wyznaczona data ślubu – jakaś lipcowa sobota. Wesele odbywało się w Centrum Kultury Irlandzkiej. Wielka sala, lepka podłoga. Z każdej szpary ziało tanim piwem z poprzednich ślubów. Na scenę wpakowała się orkiestra mariachi, z kuchni wyjeżdżały tace z enchiladami i tortillami. Całą ścianę zajmował barek, wśród butelek uwijali się irlandzcy barmani. Tłok. Ktoś podał mi piwo i jakoś nikt

tego nie zauważył. Więcej, czułem przez skórę, że niegrzecznie by było odmówić.

Ciocia stała na czele związku zawodowego, zajmowała się bardzo ważnymi sprawami. Jej przyszły mąż piastował podobne stanowisko, tyle że w innym regionie. Mimo tłoku panowała podniosła atmosfera. Choć byłem przecież młody, czułem, że dzieje się coś ważnego. Napływało coraz więcej ludzi – wszyscy byli głośni, weseli, odwieszali płaszcze, torby, upewniali się, że schowali kluczyki od samochodu, wyraźnie zamierzali tu dłużej zostać. A potem pito, tańczono, wygłaszano mowy, grała muzyka, znów pito, tańczono... Było to jedno z najbardziej szalonych i najdłuższych przyjęć, na jakich w życiu byłem. Nie pamiętam, jak się skończyło ani jak dotarłem do domu. Do dziś pozostało mi jednak to niejasne wspomnienie – coś jak przedziwny, hałaśliwy sen gdzieś na krawędzi między dzieciństwem a dorosłością.

Nie pamiętam, żeby ktoś kiedyś powiedział, że małżeństwo cioci się rozpadło. Jakoś tak raczej wyblakło, rozplynęło się po cichu. Mój wuj zniknął nie wiadomo kiedy. Mijały lata. Każde z nich odniosło sukces zawodowy, zdobyło uznanie. A potem pewnego dnia, gdy czytałem „Los Angeles Times”, dowiedziałem się, że mój były wuj nie żyje.

Jakiś czas temu śnił mi się ten ślub właśnie – muzyka, jedzenie, alkohol, ta szalona radość w zatłoczonej, śmierdzącej sali – i zastanawiałem się nawet, czy to się w ogóle wydarzyło. Był to mój pierwszy prawdziwy ślub, a w każdym razie pierwszy ślub, który pokazał mi, że w małżeństwie chodzi o szczęście i radość.

ROZDZIAŁ 11

Jest późny wieczór, Vivian już dawno sobie poszła, leżymy w łóżku. Alice podaje mi mój *Podręcznik*.

– Lepiej zacznij wkuwać. Chyba nie chcesz skończyć w małżeńskim kiciu.

– To niesprawiedliwe. Ty skończyłaś prawo. Tobie jest łatwiej.

Podręcznik podzielony jest na pięć części: *Nasza misja*, *Reguły postępowania*, *Prawa Paktu*, *Konsekwencje* i *Arbitraż*. Zdecydowanie najdłuższa jest ta pod tytułem *Prawa Paktu*. Każda część ma różne rozdziały, te z kolei ustępy, które dzielą się na paragrafy z mnóstwem wyliczeń i zdań małym druczkiem. Prawdziwa cegła, wystarczy rzut oka, żeby wiedzieć, że najwyżej przelecę po tym pobieżnie wzrokiem. Ale Alice uwielbia takie szczegóły i prawne zawilości.

– Ojoj – jęczy. – Mogę mieć kłopoty.

– Dlaczego?

– Ustęp 3 paragraf 6, „Zazdrość i podejrzenia”.

Obydwoje dobrze wiemy, że ma z tym pewien problem. To zawikłany motek niepewności siebie, który próbuję rozplątać, odkąd zaczęliśmy się ze sobą spotykać.

– No to masz przechłapane – żartuję.

– Nie myśl, że tylko ja, mój drogi. Spójrz na to. Ustęp 3 paragraf 12, „Zdrowie i sprawność fizyczna”.

Próbuję wyrwać jej *Podręcznik*, ale bezskutecznie, chichocze.

– Dość już tego czytania – mówię.

Alice rzuca *Podręcznik* na nocny stolik i przyciska swoje ciało do mojego.

ROZDZIAŁ 12

Moje biuro tonie w książkach i artykułach na temat małżeństwa. Na Uniwersytecie Rutgersa udowodniono na przykład, że jeżeli kobieta jest szczęśliwa w małżeństwie, jej mąż jest tak- że znacznie szczęśliwszy; jednak poziom zadowolenia męża z małżeństwa nie wpływa na szczęście żony.

Niscy mężczyźni pozostają w związkach małżeńskich dłu- żej niż wysocy.

Najlepszy wskaźnik sukcesu małżeńskiego? Zdolność kre- dytowa.

Zgodnie z prawem babilońskim kobieta, która dopuściła się zdrady, powinna zostać wrzucona do rzeki.

Dobre badanie z rozsądnymi wnioskami to zwykle wynik przeanalizowania dużej liczby danych. Im więcej danych, tym słabiej widać wyjątki, a wyraźniejsza staje się prawda. Ale cza- sami wydaje mi się, że zbyt wiele danych prowadzi z kolei do takiego oszołomienia informacjami, że prawda zaczyna się wy- mykać. Trudno powiedzieć, jak jest w przypadku małżeństwa. Z pewnością można się przecież czegoś nauczyć na błędach i sukcesach innych par. A jednak – czy nie jest tak, że każde małżeństwo jest wyjątkowe?

Moimi pierwszymi klientami są Liza i John. Przed ich przyjściem przygotowuję się bardzo starannie. Taki już jestem, zawsze tak robię. Pada deszcz i nasza dzielnica wygląda jeszcze bardziej ponuro niż zazwyczaj. John prowadzi własną firmę, Liza pracuje w marketingu. Pobrali się pięć lat temu (elegancki ślub na polu golfowym w Millbrae).

Od pierwszej chwili spotkania czuję do nich sympatię. Ona ma na głowie kolorową czapeczkę, którą sama zrobiła na drutach i która sugeruje kompletny brak próżności, a on przypomina mi dobrego kumpla ze studiów, tylko jest nieco bystrzejszy. Może te terapie dobrze mi robią. Zwykle pracuję przecież z dziećmi, a tymczasem pewnie dobrze jest czasem pożyć z dorosłymi i pogadać o czymś innym niż Nietzsche, Passenger czy naukowe dowody na niezwykle zdrowotne zalety zióła. Nie żebym nie uwielbiał tych dzieciaków. Ale właśnie to, przez co są tak narażone na te wszystkie niebezpieczeństwa – to ich poczucie, że dokonują jakichś odkryć, połączone z rozpaczą, ich naiwna wiara w oryginalność własnych przemyśleń – sprawia jednocześnie, że są dość przewidywalne. Czasami mam ochotę wywiesić na drzwiach tabliczkę: „Tak, czytałem *Franny i Zooey*, i nie, anarchia nie jest realistycznym rozwiązaniem politycznym”. Tak więc Liza i John prowadzą mnie na zupełnie nowe terytorium. Podoba mi się pomysł, że mam pomagać ludziom rozwiązywać problemy bliższe mnie samemu. Niemal mógłbym się z nimi zaprzyjaźnić, oczywiście w innych okolicznościach.

John pracuje jak wariat nad swoim start-upem, najwyraźniej konstruuje jakąś przełomową appkę, choć nie do końca potrafi wyjaśnić, co ona właściwie będzie robiła. Liza ma dość dbania o wizerunek szpitala, który w rzeczywistości jest w jej odczuciu fabryką chorych ludzi.

– Czuję się, jakbym wręcz oszukiwała – zwierza się, poprawiając czapeczkę. – I tęsknię za przyjaciółmi. Chciałabym wrócić do Waszyngtonu...

Zawsze odbieraj telefon od małżonka.
Regularnie obdarowujcie się prezentami.
Kilka razy w roku wyjedźcie gdzieś razem.
Nikomui nie wspominajcie o Pakcie.

.....

Alice i Jake to młode kochające się małżeństwo. Alice odnosi sukcesy jako prawniczka, Jake jest terapeutą i współwłaścicielem poradni psychologicznej. Przed nimi wspólne życie pełne planów. W prezencie ślubnym od prominentnego klienta Alice nowożeńcy otrzymują zaproszenie do elitarnego klubu dla małżeństw, który działa pod nazwą Pakt. Jego celem jest wspieranie par w staraniach o szczęśliwy i trwały związek. Nerozerwalny. Za wszelką cenę...

Jak daleko się posuną, aby ochronić swoje małżeństwo?

E-book dostępny na woblink.com

ISBN 978-83-7515-459-7



Cena detal. 39,90 zł


WYDAWNICTWO
OTWARTE